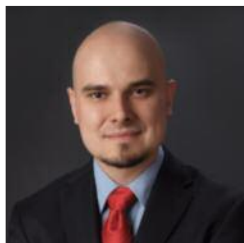


Rosyjskie groźby nuklearne a interes Polski



MICHAŁ KUŹ

Redaktor „Nowej Konfederacji”

Dziś Kreml zakłada, że Zachód będzie zbyt podzielony, aby zdecydować się na groźący globalną wojną atak na Rosję w razie rosyjskiego uderzenia, np. w Polskę.

Zdaje się, że czy tego chcemy, czy nie, wracamy do najgorszego okresu zimnej wojny. Wojny, na którą ani Zachód, ani Polska nie są niestety przygotowane. Rosja zaś jak najbardziej. W sierpniu Władimir Putin ogłosił wszak, że trwają „intensywne prace” nad nowymi rodzajami „odstraszających sił nuklearnych”. „Szczegóły muszą nadal pozostać tajemnicą, ale ujawnimy je w stosownym czasie” – stwierdził enigmatycznie. „Foreign Policy” poświęcił temu zagadnieniu osobny artykuł, nie kryjąc już nawet, że stosunki na linii Moskwa–Waszyngton są na powrót tam, gdzie były około roku 1968.

O jakie dokładnie systemy chodzi? W innym artykule analitik FP stwierdza, że mowa tu najprawdopodobniej o nowym sposobie szybkiego przenoszenia głowic na samobieżnych pojazdach. Już pojawiły się np. informacje o planach rozmieszczenia podobnego sprzętu na Półwyspie Krymskim. Z kolei bliski Pentagonu ekspert ujawnił zaś (pragnąc pozostać anonimowym) „Nowej Konfederacji”, że z danych wywiadu wynika, iż poza uspraw-

nieniem przenoszenia głowic Moskwa planuje również zminiaturyzować same ładunki. Te sprzed kilkudziesięciu lat miały być bowiem potężnymi zabójcami siejącymi absolutne zniszczenie na maksymalnie rozległym obszarze. Te nowej generacji będą zdolne punktowo anihilować miasta i dzielnice, nie powodując przy tym skażenia rozległych połaci atakowanego kraju. Tym samym będą mogły być stosowane nawet bardzo blisko rosyjskich granic.

Rosyjska rozbudowa arsenału jądrowego łamie naturalnie umowy podpisane z USA jeszcze w latach 80., za prezydentury Ronalda Reagana. Logika odstraszenia nuklearnego sprawia jednak, że same USA czy choćby Francja lub Wielka Brytania nie muszą się zbytnio obawiać. Celem mogą natomiast być wschodnia flanka NATO i niepokorne kraje sąsiadujące z Rosją. O tym z kolei pisze w swoim głośnym ostatnio artykule Anne Applebaum, żona Radosława Sikorskiego.

Jak podkreśla publicystka „Washington Post”, te doniesienia o nowych zbro-

jeniach nuklearnych zbiegają się w czasie z coraz brutalniejszą retoryką politycznych „bulterierów” z otoczenia Władimira Putina. Alexander Dugin, prezydencki doradca, stwierdził np., że Ukraina musi być „oczyszczona z idiotów”, wezwał też do „ludobójstwa”, które ma się dokonać na „rasie idiotów”. Nim jednak te najbardziej radykalne plany wobec Ukrainy mogłyby być wprowadzone w życie, Kreml musiałby ostatecznie udowodnić, że to on rozdaje karty w całym regionie.

Dlatego też Władimir Żyrinowski, również w sierpniu, stwierdził, że „Kraje bałtyckie i Polska są skazane na zagładę”. „Nie pozostanie tam nic” – grzmiał. Jednocześnie jednak zadbał o to, aby uspokoić Amerykę, która jest „za daleko”, aby czuć się zagrożona. Zapytany o te opinie Putin odparł zaś, że wynurzenia faszystującego polityka nie są oficjalną polityką Rosji, ale Żyrinowski zawsze „wie, jak rozkręcić imprezę”.

O ile jednak wypowiedzi Żyrinowskiego można traktować z przymrużeniem oka, o tyle, zdaniem Applebaum, nie można tak podchodzić do analiz Andrieja Piontkowskiego, matematyka i analityka, byłego szefa moskiewskiego Centrum Studiów Strategicznych. Zdaniem Piontkowskiego Putin przestał już wierzyć w doktrynę MAD (Mutually Assured Destruction – Wzajemnie Zagwarantowane Zniszczenie), która dotąd zapobiegała starciu nuklearnemu pomiędzy NATO a ZSRS i Rosją. Dziś Kreml zakłada, że Zachód będzie zbyt podzielony, aby zdecydować się na grożący globalną wojną atak na Rosję w razie rosyjskiego uderzenia, np. w Polskę.

W efekcie, jak konkluduje Piontkowski, gdyby Kreml uznał za stosowne zamienić dwie pomniejsze europejskie stolicy w radioaktywne kratery (np. Wilno i War-

szawę lub choćby Mokotów), to nie doprowadziłoby to do III wojny światowej. Dla Rosji korzyścią z takiej zbrodni byłoby zaś to, że w ten sposób raz na zawsze udowodniłaby światu, że to ona rządzi w regionie, a NATO jest strukturą pozbawionego realnego znaczenia militarnego.

Gdyby Kreml uznał za stosowne zamienić dwie pomniejsze europejskie stolicy w radioaktywne kratery (np. Wilno i Warszawę lub choćby Mokotów), to nie doprowadziłoby to do III wojny światowej

Trudno się oprzeć spójności tej argumentacji. Zwłaszcza po ostatnim szczycie NATO, który mógł Putina tylko utwierdzić w tym, że podziały panujące wewnątrz Sojuszu są bardzo głębokie. Niemiecka ostrożność też ma jednak swoją logikę. To oczywiste, że w globalnej polityce bezpieczeństwa zbyt wiele odstraszenia i prężenia mięśni może w końcu doprowadzić do konfliktu. Zdaniem wielu historyków tak właśnie doszło do I wojny światowej. Z drugiej strony zbyt mało odstraszenia (czyli „appeasement”) tylko prowokuje zdeterminowanego gracza chcącego podważyć istniejący ład międzynarodowy. Tak doszło do II wojny światowej.

Wziąwszy jednak pod uwagę wszystkie za i przeciw, z perspektywy Ukrainy i regionu Europy Środkowowschodniej

Memorandum budapeszteńskie wydaje się dziś tragicznym błędem. To przecież na jego mocy w zamian za gwarancje integralności terytorialnej ze strony Wielkiej Brytanii, Rosji i USA Ukraina zrzekła się praw do głowic jądrowych, którymi dysponowała po rozpadzie ZSRS. Jeśli wierzyć oficjalnym danym, tylko Ukraina spośród środkowoeuropejskich krajów byłego bloku wschodniego miała unikalną szansę stać się państwem o potencjale nuklearnym. Gdyby Kijów nie uwierzył w 1994 r. Zachodowi, dziś miałby siłę odstraszania, która wykluczałaby wejście na jego terytorium wojsk rosyjskich.

Płynie stąd też nauczka dla Polski i innych krajów regionu. Nie możemy się czuć bezpiecznie, dopóki Rosja albo zupełnie nie zlikwiduje swojego arsenału

nuklearnego, co jest niewyobrażalne, albo sami się nuklearnie nie uzbroimy, co jest niezwykle mało prawdopodobne. Mając jednak do wyboru rozwiązanie mało prawdopodobne i niemal niemożliwe, logicznie rzecz ujmując, powinniśmy rozważyć wybór tego pierwszego. Technologia nuklearna jest przecież znana w naszym regionie, a nominalny budżet samej tylko polskiej armii przekracza ten, jakim dysponują np. Pakistan i Iran (dane za Stockholm International Peace Research Institute). Jak zauważa zaś Clifford Bates, obecna polityka amerykańska jest niemal jawną zachętą dla jej sojuszników, by zbroili się sami, również nuklearnie.

Zatem: Polska bomba atomowa? Brzmiałoby to jak żart... gdyby nie okoliczności.